

东

方

观

察

प्राच्यविद्या पत्रिका

مجلة الآسنتراق

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

WARSZAWA

KWARTALNIK

3(71)

1969

## SPIS TREŚCI

### ARTYKUŁY

Ija L a z a r i - P a w ł o w s k a, <i>Mahatma</i>	215
Barbara G r a b o w s k a, <i>Dżajadewa i jego epoka</i>	223
Saleh H. H a m a r n e h, <i>Główne kierunki współczesnej poezji arabskiej</i>	231
Roger L e T o u r n e a u, <i>Aktualny stan badań naukowych w Afryce Północnej</i>	241

### UTWORY LITERACKIE

E n d ō S h ū s a k u, <i>Milczenie</i> (fragment), (z japońskiego przełożyła Izabella D e n y s e n k o)	249
<i>Z Księgi Pieśni</i> (z chińskiego przełożyła Marzenna S z l e n k - I l i e w a)	253
Bozorg A l a w i, <i>Woda</i> (z perskiego przełożyła Zofia J ó z e f o w i c z)	257
Memduh Şevket E s e n d a l, <i>Naciągacz</i> (z tureckiego przełożyła Małgorzata Ł a b ę c k a - K o e c h e r o w a)	263

### MATERIAŁY I NOTATKI

Bogdan S k ł a d a n e k, <i>Z problemów dialektologii irańskiej w Tadżykistanie</i>	267
Maria Krzysztof B y r s k i, <i>Sanskrycki teatr jednego aktora</i>	270
Mieczysław J. K ü n s t l e r, <i>Uwagi o poezji ludowej z czasów późniejszej dynastii Han</i>	274
Andrzej R ó ż y c k i, <i>O twórczości L. S. Senghora</i>	276
Bogusław Z a g ó r s k i, <i>Występy egipskiego zespołu tańca ludowego</i>	280
<i>75-lecie urodzin Rudolfa Ranoška</i>	282

### RECENZJE

#### Z KSIĄŻEK

<i>Abe Kobo, Kobieta z wydm</i> (Wiesław K o t a ń s k i)	285
<i>Franciszek Machalski, La littérature de l'Iran contemporain</i> (Włodzimierz Z a j ą c z k o w s k i)	287
<i>Pierre Montet, Egipt i Biblia</i> (Albertyna S z c z u d ł o w s k a)	288
<i>Chinua Achebe, Czcigodny kacyk Nanga</i> (Rajmund O h l y)	290
<i>Luce Boulnois, Szlakiem jedwabiu</i> (Mieczysław J. K ü n s t l e r)	292
<i>Н. Н. Коротков, Основные особенности морфологического строя китайского языка</i> (Mieczysław J. K ü n s t l e r)	296
<i>Л. А. Гундин, Язык древнейшего населения юга балканского полуострова</i> (Maciej P o p k o)	297

#### NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

299

#### Z CZASOPISM

303

### KRONIKA

#### Z ruchu naukowego na polu orientalistyki

<i>Wyjazdy zagraniczne polskich orientalistów</i>	311
<i>Kronika naukowa</i>	311
<i>Magisteria z zakresu orientalistyki na wyższych uczelniach polskich w 1967/68 r.</i>	312
Kronika kulturalna	
<i>Działalność kulturalna PTO</i>	313
<i>Nowy Zarząd Oddziału Krakowskiego PTO</i>	313
<i>Działalność Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indyjskiej</i>	314

*PRZYSŁOWIA TUNEZYŃSKIE.*

Skorpion siedzi w rękawie  
a lekarz w Bagdadzie.

\*

Belchir umiera z pragnienia, a mówią mu:  
„Poczekaj aż wykopią ci studnię”.

\*

Saad i Bu. Saber posprzeczali się  
a Barkę wzięto za to do więzienia.

\*

Kiedy masz sprawę z psem  
przygotuj mu kość.

\*

Rodzice popełniają błędy  
a dzieci za nie płacą.

\*

Wąż jest głodny  
i płaci za to żaba.

Z arabskiego przełożył  
*Edward Szymański*

## MILCZENIE\*

(Fragment powieści)

Wieczorem, w pięć dni później ksiądz miał drugą rozmowę z Inoue Chikugomori.

Gdy nieruchome w ciągu dnia powietrze zadrgało i wieczorny wiatr zaszeleścił rzeźwo w liściach drzew, kazano mu usiąść w izbie strażników naprzeciwko Inoue Chikugomori. *Bugyō* nie towarzyszył nikt prócz tłumacza. Gdy ksiądz ze strażnikiem weszli do wartowni, *bugyō*, trzymając w obu dłoniach dużą czarę, pił powoli gorącą wodę.

— Długo nie dawałem znaku życia — mówił z czarą w rękach, patrząc na księdza dużymi, pełnymi ciekawości oczyma — a to dlatego, że jeździłem aż do Hirado w sprawach urzędowych.

*Bugyō* polecił tłumaczowi, aby kazał przynieść gorącej wody dla księdza i z uśmiechem, nie spiesząc się, zaczął mówić o Hirado, skąd wrócił.

— I padre mógłby przy sposobności wybrać się do Hirado — mówił to tak, jakby uważał księdza za zupełnie wolnego. — Miasto leży u stóp zamku księcia Matsuura, a góra zamkowa stoi tuż nad cichą zatoką.

— Słyszałem od misjonarzy w Makao, że to piękne miasto.

— Nie wydaje mi się, żeby aż piękne, ale jest interesujące — potrząsnął głową Chikugomori. — Gdy patrzę na to miasto, przypominam sobie dawno słyszaną historię. Księżę Hirado, Matsuura Takenobu, miał cztery nałożnice, a te nałożnice były o sobie nawzajem zazdrosne i kłóciły się bez przerwy. Księżę Takenobu nie mógł tego w końcu wytrzymać i wszystkie wygnał z zamku. Ale tobie, padre, który masz zachować czystość przez całe życie, nie wolno słuchać takich historyjek.

— Ten księżę był bardzo mądry — pod wpływem swobodnego sposobu prowadzenia rozmowy, jaki przyjął Chikugomori, wewnętrzne napięcie księdza zelżało i poczuł się swobodniej.

— Naprawdę, tak padre myśli? No to świetnie! Całe Hirado, nie, cała nasza Japonia jest właśnie, jak ten księżę Matsuura.

Obracając czarę w rękach Chikugomori uśmiechał się:

— Były cztery kobiety o imionach: Hiszpania, Portugalia, Holandia i Anglia. Śpiąc z mężczyzną imieniem Nihon<sup>1</sup>, co noc wzajemnie o sobie mówiły jak najgorzej, aż Nihon miał pełne uszy tych oszczerstw, plotek i złorzeczeń.

Słuchając tłumacza, ksiądz pojmuje stopniowo, o czym mówi *bugyō*. Wiedział też, że Inoue ani trochę nie kłamie. Od dawna bowiem wiedziano i w Makao i w Goa,

\* Poprzedni fragment powieści *Milczenie* patrz PO nr 2(70), 1969, s. 151.

<sup>1</sup> Nihon — Japonia.

że kraje protestanckie, Anglia i Holandia, zabiegając o względy Japonii, niechętnie widziały sukcesy państw katolickich, Hiszpanii i Portugalii, i oczerniały je często przed rządem bakufu i ludnością Japonii. W odpowiedzi na to, misjonarze w pewnym okresie zabronili japońskim wiernym kontaktów z Anglikami i Holendrami.

— Jeżeli uważasz, padre, że książe Matsuura postąpił mądrze, to nie możesz jednocześnie twierdzić, że Japonia zrobiła głupio, zakazując chrześcijaństwa.

Z tłustej i rumianej twarzy *bugyō* znikł uśmiech. Oczy wpatrują się nieruchomo w twarz księdza. Te oczy są tak jasnobrazowe, że aż niezwykle u Japończyka, a w wąsach i brodzie nie ma ani jednego siwego włosa. Czyżby farbowane?

— Nasz Kościół naucza, że małżeństwo to jeden mąż i jedna żona — ksiądz specjalnie wybrał żartobliwą formę odpowiedzi. — I dlatego mądrą jest rzeczą wypędzić nałożnice, jeżeli w domu jest ślubna małżonka. I Nihon mógłby chyba wybrać sobie jedną małżonkę spośród czterech kobiet.

— A tą małżonką miałyby być Portugalia?

— Nie, nasz Kościół.

Gdy tłumacz z twarzą pozbawioną wyrazu przełożył odpowiedź, *bugyō* głośno się roześmiał. Śmiech, jak na starca, był donośny, ale oczy spoglądające na księdza mówiły co innego. Oczy się nie śmiały.

— Lecz, czy nie sądzisz, padre, że mężczyzna, imieniem Nihon najlepiej zrobi, gdy nie wybierze sobie cudzoziemki, tylko połączy się węzłem małżeńskim z kobietą japońską, urodzoną w tym samym kraju, z kobietą, której charakter i serce mógł poznać?

Ksiądz oczywiście od razu odgadł kogo Inoue określa słowem cudzoziemka, ale partner rozpoczął dyskusję, ubierając ją w formę swobodnej rozmowy, więc musiał go w tym naśladować.

— W Kościele panuje przekonanie, że ważniejsze jest szczere uczucie kobiety dla męża od jej przynależności państwowej i kraju urodzenia.

— Ach tak? Nie byłoby cierpienie na tym łożu padole, gdyby małżeństwa kojarzyły się tylko w oparciu o uczucie! Ale przysłowie mówi „o natrętnej miłości brzydkiej kobiety”.

*Bugyō*, zdaje się, zadowolony z tego porównania ciągnął dalej, kiwając głową:

— Zdarza się na świecie, że mężczyzna ma w końcu dość takiej natrętnej baby, która go dręczy swoją miłością.

— Wasza dostojność raczy uważać, że głoszenie religii to to samo, co zmuszanie do przyjęcia narzuconej miłości?

— Dla nas, owszem. Poza tym, jeśli ksiądz razi zwrot „natrętna miłość brzydkiej baby”, spróbujmy wyrazić to inaczej. Kobieta, która rodzi dziecko, ale nie może go wykarmić i utrzymać przy życiu, jest u nas uważana za bezpłodną i nie nadaje się na żonę.

— Jeśli nasza nauka tu, w Japonii nie może się utrzymać przy życiu, to nie z winy Kościoła. Sądzę, że winni są raczej ci wszyscy, którzy starali się oderwać wiernych — czyli męża od Kościoła — czyli żony.

Tłumacz milczał chwilę, szukając słów. Jest to pora, kiedy z więzienia wiernych płynie wieczorna modlitwa. Jednak dziś nic nie słychać. Nagle cisza sprzed pięciu

dni — ta cisza, zdawałoby się taka sama, a jednak całkiem inna, ożyła w sercu księdza. Martwe ciało jednookiego mężczyzny padło na rozświetloną blaskami słońca ziemię, a strażnik bez trudu włókł je za nogi do dołu. Aż do tego dołu ciągnęła się po ziemi smuga krwi, jak linia namalowana jednym pociągnięciem pędzla. Księdzu nie mogło się pomieścić w głowie, że egzekucja odbyła się z rozkazu tego oto człowieka o łagodnej twarzy.

— Ty padre, nie, wy wszyscy padre, od pierwszego, który tu przybył aż do ciebie, jakże wy nie znacie Japonii!

— A Wasza Dostojność nie zna chyba chrześcijaństwa?

I ksiądz i Chikugomori roześmieli się jednocześnie.

— Ależ przed trzydziestu laty, gdy byłem wasalem rodu Gamo, ja też szukałem prawdy i wiedzy u waszych padre!

— No i?

— I dziś kieruję walką z chrześcijaństwem, ale to nie znaczy, bym sądził, że tak ma być na całym świecie. W najmniejszym stopniu nie uważam chrześcijaństwa za złą, przewrotną religię.

Tłumacz, słysząc te słowa, jakby się nieco zdziwił, a zanim je po krótkim wahaniu przetłumaczył, *bugyō*, śmiejąc się, patrzył na czarękę, w której pozostało jeszcze trochę wody.

— A teraz, padre, pomyśl sobie trochę o tych dwu sprawach, o których ci mówiłem, ja, stary człowiek. Natrętna miłość niekochanej kobiety jest dla mężczyzny nieznośnym ciężarem, a niewiasta bezpłodna nie nadaje się na małżonkę.

Gdy *bugyō* wstał, tłumacz, z dłońmi, wysuniętymi do przodu i złożonymi jedna na drugiej, pochylił z szacunkiem głowę w ukłonie.

Strażnik, w pomieszczeniu, zaczął powoli wkładać słomiane sandały. Chikugomori, nie odwracając się już w stronę księdza, wyszedł do pogrążonego w ciemnościach ogrodu więziennego. W drzwiach wartowni stoi kolumna wirujących komarów. Za bramą słychać tętent koni.



## PRZYSŁOWIA BERBERSKIE

(KABYLIA)

Więcej warta jest prawda, która sprawia ból  
niż kłamstwo, które wzbudza radość.

\*

To co dał kwintalami  
odebrał uncjami.

\*

Jest w tej samej sytuacji, jak ten co szoruje murzyna  
mając nadzieję, że stanie się on białym.

\*

Temu kto siedzi na ośle, mów:  
„Brawo! Jaki piękny twój koń”!

\*

Żywi go opuścili  
więc opiera się na Bogu.

\*

W pierwszym dniu — gość jest miły  
W drugim — uprzykrzony  
Trzeciego dnia wziąć na niego kij.

Z berberskiego przełożył  
*Edward Szymański*

## Z KSIĘGI PIEŚNI

KUO-FENG

### *Pieśń 1: Kuan ts'u*

1. „Kuan-kuan” krzyczy orzeł morski  
nad wysepką pośród rzeki;  
Piękne, skromne, dobre dziewczę,  
to dla władcy dobry związek.
2. Rzęsa z jezior jest nierówna,  
dookoła ją ścinamy;  
Piękne, skromne, dobre dziewczę...  
śpiąc czy marząc — wciąż jej szuka.
3. Szuka, lecz nie może znaleźć,  
śpiąc czy marząc — myśl tę pieści  
i od dawna, niespokojnie,  
z boku na bok się obraca.
4. Rzęsa z jezior jest nierówna,  
dookoła ją zrywamy;  
Piękne, skromne, dobre dziewczę...  
lutnie ją i harfy sławią.



5. Rzęsa z jezior jest nierówna,  
dookoła ją zbieramy;  
Piękne, skromne, dobre dziewczę...  
dzwonki, bębny dla niej grają!

### *Pieśń 2: Ko t'an*

1. Jakże rozciąga się pnącze!  
Sięga środka doliny,  
bujne jest jego listowie.



Wiwilgi przelatują,  
na krzaki opadają,  
śpiewają melodyjnie.

2. Jakże rozciąga się pnącze!

Sięga środka doliny,  
gęste jest jego listowie.  
Ścinam je i gotuję,  
odzienie z niego robię,  
noszę je, nie zdejmuję.

3. I opowiadam niewieście

o tym, że wracam do domu;  
więc odzież swoją upiorę,  
upiorę stroje swoje —  
Co uprać? Co zostawić?  
Wracam by życzyć spokoju  
ojcu mojemu i matce.



*Pieśń 6: T'ao jao*

1. Jakże delikatna i piękna brzoskwinia!

Rozkwitła i teraz w kwieciu stoi cała!

Dziewczyna przybywa w dom męża swojego,  
będzie porządkować swój pokój, dom cały!

2. Jakże delikatna i piękna brzoskwinia!

O, jakże obfite zrodziła owoce!

Dziewczyna przybywa w dom męża swojego,  
będzie porządkować dom własny i pokój.

3. Jakże delikatna i piękna brzoskwinia!

Pokryła się teraz gęstym, bujnym liściem!

Dziewczyna przybywa w dom męża swojego  
i ład zaprowadzi wśród służby domowej.



*Pieśń 9: Han kuang*

1. Na Południu wysokie są drzewa,  
lecz nie możesz odpocząć pod nimi;  
są za Hanem wesołe dziewczęta,  
lecz nie możesz ich zdobyć dla siebie.  
Wody Hanu rozlały szeroko  
i nie można ich wcale przebrodzić,  
rzeka długa — zupełnie bez końca  
i nie można jej tratwą przepłynąć.
2. Długość chrustu w tych wiązках nierówna,  
ścinam sobie gałązki tarniny;  
dziewczę idzie do męża swojego,  
muszę przeto nakarmić swe konie.  
Wody Hanu rozlały szeroko  
i nie można ich wcale przebrodzić,  
rzeka długa — zupełnie bez końca  
i nie można jej tratwą przepłynąć.
3. Długość chrustu w tych wiązках nierówna,  
ścinam sobie te kępy porostów;  
dziewczę idzie do męża swojego,  
muszę przeto nakarmić żrebaki.  
Wody Hanu rozlały szeroko  
i nie można ich wcale przebrodzić,  
rzeka długa — zupełnie bez końca  
i nie można jej tratwą przepłynąć.

Z chińskiego przełożyła  
Marzenna Szlenk-Iłiewa

RABINDRANATH TAGORE

\*

\*

\*

Noc mija bez snu  
ktoś go chyba ukradł z oczu  
Niesłychane!  
Oczy spragnione nie widzą tego,  
dla kogo wędruję samotnie.  
Jego flet, ach, twój flet —  
twój flet gra w nabrzmiąłym sercu  
Nadzwyczajne!  
Nikt nic nie mówi, lecz mimo tego  
jakiś szept słyszę,  
kto wie jaki —  
to chyba serce przepelnione bólem —  
Lzy mam w oczach  
od kołysania się cienia;  
od wolnego poruszania się jego cienia  
dniem i nocą  
Niesłychane!

Z bengalskiego przełożyła

Jadwiga Kowalczyk

## WODA

... Rzeczywiste życie Iranu poznawał wśród pól i pustyń. Godzinami przesiadywał na przełęczach i pagórkach, patrzył na kamieniste, gorące połacie, pustynie czerwono-fioletowe i drzewa granatu, okrągłe jak piłki, na kawałki pordzewiałego żelastwa i kości zwierząt, wylotowe studnie kanałów, na druty telegraficzne, skrzywione lub połamane słupy. Szum wiatru miał dla niego specjalne brzmienie. W swojej wędrówce mógł słyszeć głosy, jakie tylko zapragnął. Plusk wody, którą jego kochana niania lała mu na głowę z pierwszego stopnia łaźni, głosy płaczących dzieci u sąsiadów, krzyki uczniów szkolnych, którzy mu dokuczali i mówili: „Dżafar nie ma ojca, znaleźli go pod krzakiem”. Świst bata, którym bito go w więzieniu. Czasami wiatr przynosił ze sobą śpiew poganiaczy karawan i odgłos dzwoneczków mułów, jednostajne przyśpiewki pielgrzymów. Mógł leżeć godzinami i wyczarowywać te różnorodne głosy z niczego.

Jedynie głód ściągał go z wyżyn do osiedli. Słońce o zachodzie zamieniało góry w fantastyczne, baśniowe postacie i wydawało się, że otula je jaśniejący błękit i sine plamy chmur, podobnych do atlasowych i jedwabnych kołder. Takie kołdry widział Dżafar w jednym z domów swojego pana i gdy tylko słońce miało się ku zachodowi nad wyschniętymi ziemiemi Iranu, zawsze je sobie przypominał. O tej wieczornej porze suche pustynie bez jednego źdźbła trawy i cała ziemia przybierała swój prawdziwy, utajony wygląd, a świat zamieniał się w bajkę. Każda skała, każdy kamyczek, każde wzniesienie, każdy głos, o tej porze wszystko nabiera życia. Wszystko zaczyna się poruszać, odsłaniając ukryte tajemnicze kwiaty. Niebo, jak turkusowa czasza wysadzana klejnotami, osłania ten bajkowy świat przed złym okiem. Gdybyż to było możliwe, by Dżafar nie siedział w więzieniu! Gdybyż nie było tej bezimiennej konieczności, która czasami pchała go gdzie chciała, a on musiał jej słuchać! Czasami, gdy stawała się zbyt silna, musiał uciekać w pustynie południowo-wschodniego Iranu.

Dżafar lubił ludzi, których poznawał na pustyniach. Poganiaczy koni i wielbłądów, pastuchów, szoferów, żandarmów, robotników, właścicieli zajazdów, derwiszów, włóczęgów pustyni. Dżafar poznawał ich przy źródle, na zielonych ścieżkach, w chłodnych wąwozach, w lasach i zajazdach. Kilka dni, kilka nocy lub kilka godzin, a potem rozchodzili się i nigdy się już nie spotykali. Wszyscy byli prawdziwi, byli dobrzy lub źli, byli tacy jacy byli. Człowiek zresztą nie miał czasu zagłębiać się w badaniach ich duszy.

Natomiast człowiek nigdy nie może poznać ludzi z miasta. Latami może utrzymywać z nimi bliskie stosunki towarzyskie, może znać różne strony ich życia, postępowanie w ciężkich sytuacjach, a mimo to zdarza się, że ten sam człowiek dopiero w obliczu jakiejś nieprzewidzianej sytuacji, gdy chodzi o pieniądze, o żonę, okazuje swój

prawdziwy charakter, unosi od lat zapuszczoną przyłbicę i odsłania oblicze bez jaśniejącej, sztucznej maski.

Gdyby nie było Masumeh, gdyby nie oczarowały go jej jasne włosy, miła buzia, piwne oczy, różowe policzki... Dżafar nie pozostałby w tym mieście i dzisiaj nie siedziałby w więzieniu. Przedtem też siedział w więzieniu, lecz wówczas był pewien, że wieczór po wyjściu na wolność spędzi w zajeździe, lub jakim *emamzadeh*<sup>1</sup>. Ale tym razem nie miał pewności, że będzie mógł patrzeć prosto w słońce i znosić jego żar. Było oczywiste, że jeśli nawet uda mu się wyrwać ze szponów żandarmów i zza żelaznych krat, to nie zdoła wyzwolić się spod czaru oczu Masumeh.

To była wina Masumeh, że dzisiaj siedzi w więzieniu. I do tej pory nie udało mu się wydobyć od żadnego z tych niemych żandarmów, którzy nie rozumieją ludzkiego języka, dlaczego nie oddano mu jego rzeczy, przyniesionych z domu. Chciał wiedzieć, czy Masumeh jeszcze o nim myśli?

Było południe. Ciągle jeszcze padał deszcz. Od wczorajszego wieczora do tej pory lało bez przerwy. To ten deszcz kazał Dżafarowi wspominać tamte suche i gorące dni, które spędził na pustyniach między Gom a Isfahanem. Tam za kroplę wody oddaje się życie!

Gdyby tamtemu roslemu wieśniakowi, ubranemu w niebieski kaftan, dano wody godzinę wcześniej, może by nie umarł. Nigdy chyba nie zapomni cierpiącej twarzy wieśniaka, który pracował przy szosie między Gom i Isfahanem, w pobliżu Dalidżan. Rzekłbyś, że stworzono go z kilku razem sklejonych grud. Czoło niczym kamienna patelnia, było chropowate. Oczy miał małe i osłaniały je długie, żółte, spalone rzęsy. Miał na sobie długą lnianą koszulę, która dochodziła mu do kolan, a nogawki spodni z niebieskiego materiału były tak szerokie, że tworzyły jedną linię z koszulą. Gdy umierał, patrzył prosto w słońce. Widać było, że nie reagował już na palące promienie i na rażący blask. Oczy miał spalone, jedynie język poruszał się, jakby mówił: „Wody, wody”! Osioł wieśniaka w odległości dziesięciu kroków drapał swoje grube wargi o kolczasty krzak. Dżafar, oddalony na długość dużego placu, leżał w cieniu głazu, przyglądał się tej scenie i zapytywał sam siebie, jak ten wieśniak może leżeć w taki upał, na rozpalonym żwirze i dlaczego puścił osła samopas? Gdyby nie zauważył osła, możliwe, że nie zwróciłby uwagi na jego właściciela. Dżafar był przyzwyczajony do takich widoków. To byli robotnicy drogowi, którzy — wykończeni upałem — kładli się na jakiś czas, by odzyskać siły.

Jednostajny jęk wiatru działał usypiająco i tylko ryk osła, wzywającego pomocy, był czymś nie do zniesienia. Dżafar nasunął na oczy okrągłą czapkę, którą dostał od *achunda*<sup>2</sup>, w nadziei, że w ten sposób odwróci swoją uwagę od pół żywego ciała wieśniaka, lecz „żyłka” poszukiwacza przygód pchnęła go do działania. Życie Dżafara składało się z łańcucha różnorodnych zdarzeń i za każdym razem wahał się i musiał wybierać między lenistwem i gnuśnością, a czynem i działaniem. Może też, gdyby wieśniak był sam, wybrałby chłód cienia pod głazem i bez żadnych wyrzutów sumienia zostawiłby

<sup>1</sup> E m a m z a d e h — dosł. potomek imama, grobowiec imama, miejsce święte; w tym wypadku również miejsce spotkań.

<sup>2</sup> A c h u n d — stopień wyższy od mułły.

go śmierci. Jednakże głupie spojrzenia osła, których znaczenie było oczywiste, poruszyły jego serce i pomyślał: „Wyciąga w górę swoje grube, zwisające wargi i oślim językiem wypowiada swój ból”. Może też obecność osła wzbudziła w nim chciwość? Wstał i zaczął iść w kierunku wieśniaka. Poznał go z odległości stu kroków. Był to Taher Nezam Abadi, który nocami krążył wokół swojej rodzinnej wsi. Robotnicy mówili:

— Czeka na sposobność porwania Maniżeh, córki *kadchoda*<sup>3</sup>, by potem uciec w górną wieś —. Przez długie miesiące wieśniacy i robotnicy śmiali się na widok jego ospowatej twarzy. Nawet żandarmi i Maśhadi Radżab *gahweci*<sup>4</sup> przekomarzali się z nim.

Miał twarz jakby ulepioną z gliny. Leżał na ziemi. Wyglądał jakby go oblano wodą i glina odmokła odstając. Gdy Taher zauważył Dżafara poruszył się, lecz nie miał już siły wypowiedzieć: „wody”! Dżafar dobrze znał Tahera. Kiedyś spędzili całą noc w *gawehchaneh* Maśhadi Radżaba. Taher chrapał i nie dawał innym spać, chociaż klaksony ciężarówek też się do tego przyczyniały. Gdzieś po północy przyjechało do zajazdu kilku szoferów z pomocnikami. Jeden z nich obudził Tahera i zapytał go:

— O! Taher! Jak się miewa Maniżeh?

Szofer z pomocnikiem wypili herbatę, naprawili dętkę samochodu, która nawaliła i odjechali, lecz Taher już nie mógł zasnąć. Dżafar zapytał:

— O! Taher! Czy to prawda, że jesteś zakochany w Maniżeh?

Młody człowiek odrzekł:

— Daj spokój, pozwól mi spać. Oni się cieszą, bo są już blisko swoich domów, więc chcą się cieszyć. Skąd Maniżeh? Zresztą obecnie Maniżeh ma już dziecko!

Dżafar spytał:

— Z kim ma dziecko?

— Skąd ja mam wiedzieć? Mnie przecież tam nie było. Za grzech odpowiada ten, co zgrzeszył. Przecież mnie już nie wpuszczają do wsi. Wójt powiedział, że jeśli mnie tam zobaczy, to rozbije mi łeb laską.

Dżafar zapytał:

— Ależ, dlaczego?

— Nie ma „dlaczego”. On jest wójtem, jest starszym wsi. Ma władzę. Jeśli by nie miał władzy, nie wygnałby mnie z mojej ziemi i wody, teraz ziemia i woda są bezpieczeństwa.

Maśhadi Radżab *gahweci* przekręcił się z jękiem i słychać było chrzęst jego kości, jakby się łamały i za chwilę miały rozsypać, po czym przez chwilę zapanowała cisza.

— Czy ty nie masz nikogo bliskiego? — spytał szeptem Dżafar, by nie obudzić innych.

— Nie, sołtys Abbas Ali był naszym starszym. Było nas trzech braci. Niech kara boska spadnie na tych, co tak opowiadają! Sołtys moich młodszych braci uśmiercił. Mówią, że jednemu, gdy był jeszcze niemowlęciem, wrzucał do buzi zawiązaną w chusteczkę kostkę cukru i opium. Cukier uderzał tak długo w podniebienie, aż go zabił.

<sup>3</sup> *K a d c h o d a* — wójt.

<sup>4</sup> *G a h w e c i* — właściciel *g a w e h c h a n e h*, w tym wypadku zajazd.

A drugiego, mówią, nie udawało mu się zabić w żaden sposób, wreszcie pewnego dnia wbił mu igłę w ciemię.

— Czyż on oszalał?! Czemu zabijał dzieci?!

— Ojciec ustanowił Mollę Abbasa Aliego naszym opiekunem. Tak, no i on nie chciał, żeby nas było trzech. W końcu dwóch przestało istnieć. A mój los stał się właśnie taki.

— Jaki?

— Taki, jaki widzisz. Aga Reza Chan przyjechał do wsi i brzuch Maniżeh urósł, a całą winę zrzucono na mnie. Mówili, że gęsi nawet o tym gęgały. Potem zaś Aga Reza Chan powiedział: — „W ogóle nie chcę, żeby on był w Nezam Abadzie”. Nie pomogło chodzenie od drzwi do drzwi. Nikt nie chce mnie słuchać. Więc wziąłem swego osła i idę. „Oddajcie mi chociaż moją krowę” — mówię. Nie dają!

Dżafar zapytał:

— Kto to taki, Aga Reza Chan?

— Właściciel, pan Nezam Abadi.

Całą tę rozmowę Dżafar pamięta i do tej pory może ją powtórzyć dokładnie, bo kilka razy musiał opowiadać ją śledczym. Nawet, gdy śledczy usiłował wykręcić i zammatwać, on zawsze odpowiadał tak samo.

Gdy zobaczył pianę na ustach Tahera zastanowił się, czy można mu pomóc? Chwilę się zatrzymał i pomyślał, czy ta pomoc się na coś przyda. Potem wziął osła za uzdę i ostrą kością ukłuł go, popędzając na szosę. Każdy ruch osła był ogromnym wysiłkiem, lecz Dżafar nie myślał o osle. Chwilę zatrzymał się na szosie. Przypominał sobie i powtarzał historię wieśniaka.

Robotnicy drogowi mówili:

— Przesadził mur domu wójta, potem podsadził Maniżeh i obydwójce spędzili noc w szkółce drzew. Wczesnym rankiem, gdy Maniżeh chciała wrócić do domu, gęsi zaczęły gęgać i... wszyscy mieszkańcy wioski wiedzieli...

Wójt powiedział Taherowi:

— Jeśli zobaczę cię w tej okolicy, rozłupię ci pałką łeb.

Z tego też powodu Taher w dzień pracował jako robotnik drogowy, a nocą krążył wokół wsi. Tak bardzo był wycieńczony, że nadzorca robotników nie chciał go zatrudnić. Dżafar mógł sobie wyobrazić, co będzie, jeśli Taher nie będzie mógł dostać wody.

Jeśli będzie leżał z dala od szosy, po kilku dniach stanie się dobrym żerem dla zwierząt, żywiących się padliną. Kiedyś Dżafar widział, jak wydzierały oczy trupa, nim zabrały się do wyciągania jego trzewi. Dżafar wyobrażał sobie swój koniec podobnie. Nigdy nie mógł pogodzić się z myślą, że miałby umrzeć w więzieniu.

Dżafar się niecierpliwił. Parę razy przychodziło mu na myśl, żeby zostawić Tahera i odejść. Co go to obchodzi, dziennie umierają tysiące takich wieśniaków. On sam też umrze. Co go to obchodzi? Lecz samo to, żeby na wpół żywego wieśniaka zostawić i odejść, wymagało decyzji, a Dżafar nie łatwo się na coś decydował. W końcu puścił osła przy brzegu szosy, zdjął podartą, wierzchnią suknię Tahera i położył mu ją pod głowę. Taher myślał, że chce mu podwiązać brodę i szczękę, przestraszył się i powiedział:

— Nie odchodź, nie odchodź, ja nie chcę umierać.

— Poczekaj! Kto mówi, żebyś umierał? Nie umieraj, aż ja wrócę, pójdę przynieść ci wody.

Kiedy dotarł do zajazdu Maśhadi Radżaba, ten wyciągnął swoje długie, chude, żółte ręce takiego samego koloru jak twarz, zdjął z przymurówki dużą wazę ulepioną na wzór starych naczyń, podał mu i powiedział:

— Czemu pijesz wodę z dzbanka, weź czarę.

Jak wszyscy opiumiści, Maśhadi Radżab miał czysty i bezbarwny głos, przyjemny dla ucha. Maśhadi Radżab był wysoki i rozrośnięty, skórę miał pomarszczoną i żółtą. Wszystkie jego ruchy wydawały się miękkie i wyważone. Od stóp do głów Maśhadi Radżab składał się z worka żółtej skóry, do której wrzucono kości. Gdy siadał i kładł ręce na kolanach widać było, że ręce od przegubu zwisają w dół, jak wąskie woreczki pełne drobnych kości. Maśhadi Radżab nie mógł uwierzyć, by leniwy Dżafar mógł przebyć na osle dwa *farsachy*<sup>5</sup> drogi w takim żarze tylko po to, by bliskiemu śmierci wieśniakowi przynieść dzban wody. I gdy zobaczył, że Dżafar wziął dzban, zamyślił się i zrozumiał, że ten uczynek nie pozostanie dla niego bez korzyści.

Gdy Dżafar wsiadał na osła, powiedział:

— Zaraz zwrócę dzban, ktoś tam leży przy brzegu szosy, jest umierający. Dam mu wody i wrócę.

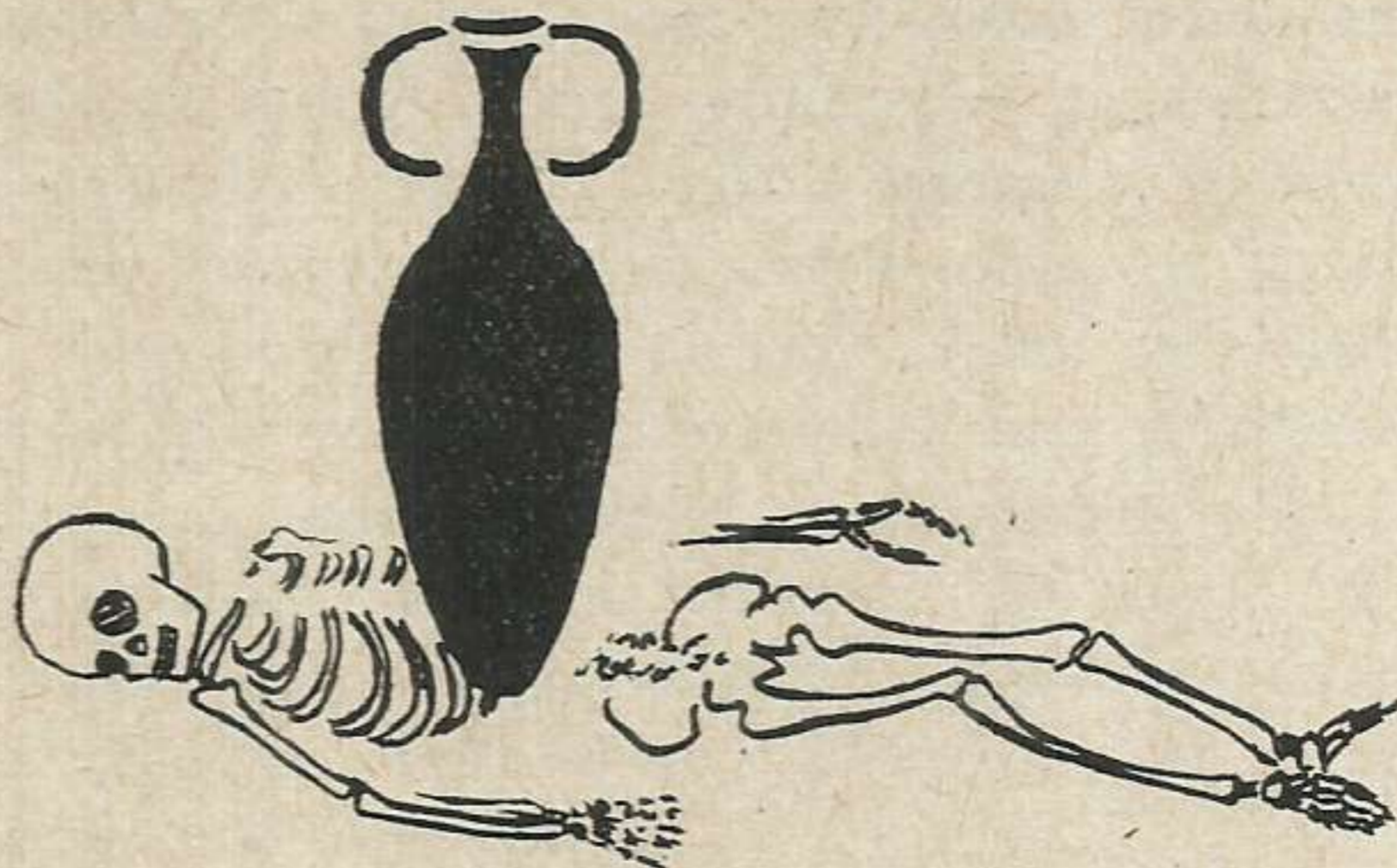
Kiedy dotarł do Tahera, było już dwie czy trzy godziny po południu. Żar zwęglił twarz Tahera. Dżafar chciał położyć jego głowę na swoich kolanach, by wlać mu wody do gardła. Lecz ciało było już sztywne. Nie przestraszył się. Tak jakby chciał, by tak się stało. Chwilę patrzył na wygasłe już oczy zmarłego. W tym czasie nadjechał duży samochód, kremowy buick, który jechał z Isfahanu w stronę Teheranu. Na widok Dżafara, nieruchomego z dzbanem w ręku, zatrzymano samochód. Odsunięto szybę.

Jakiś głos zapytał:

— Co się stało?

Szofer odpowiedział:

— Zdaje się, że umarł.



<sup>5</sup> Farsach albo farsang — odległość około 6 km.



Jakaś kobieta powiedziała:

— Biedaczysko!

Samochód dodał gazu i odjechał. Wydawało się, że rykiem motoru pasażerowie odżegnawali się od śmierci. Dżafar, nie popatrzwszy na nich, wylał dzban wody na twarz i pierś zmarłego wieśniaka. Potem rzucił dzbanem o ziemię, tak że skorupy rozprysły się wokół. Nie dlatego, że śmierć wieśniaka zasmuciła go, nie dlatego, by zmanifestować swój protest. Pomyślał, że dzban wody nie ma już znaczenia i nie musi istnieć, bo już do niczego się nie przyda.

Osiół najpierw lizał skorupy, potem podszedł do swojego pana, powąchał go i zlizął z niego wodę, po czym stał kilka chwil bez ruchu...

Z perskiego przełożyła  
*Zofia Józefowicz*

## NACIĄGACZ

Memduh Şevket Esendal (1883—1952), właściciel ziemski, zrujnowany przez wojnę światową, przeniósł się z Rumelii do Stambułu. Już w młodości (w latach 1906—1920) był aktywnym działaczem społecznym i politycznym w grupie İttihat ve Terakki (Jedność i Postęp) jako jeden ze zwolenników korporacjonizmu. Następne dwanaście lat spędził w służbie dyplomatycznej (Azerbejdżan, Iran, Afganistan, ZSRR), po powrocie do kraju (1928 r.) był przez wiele lat posłem i sekretarzem generalnym Halk Partisi (Partii Ludowej). W 1945 r. wycofał się z życia politycznego, aby ostatnie swe lata poświęcić literaturze.

Memduh Şevket Esendal był współczesnym Ömera Seyfettina (1884—1920), jednak przez całe życie kroczył sobie tylko właściwą drogą, trzymając się z daleka od wszelkich grup, szkół i kierunków tureckiej literatury. Pracował najwydajniej w okresach 1923—26 i 1946—52, pozostałe lata przynosiły zaledwie kilka nowelek rocznie, drukowanych często pod pseudonimami, których miał około dwunastu. Jego twórczość płynęła więc nurtem napół podziemnym, on sam zaś nigdy nie zabiegał o laury. „Pisałem zawsze po prostu — mówił sam o sobie — bo nie rozumiem się na literaturze i nie znam sztuki pisania”... Ale to właśnie zadecydowało o miejscu Esendala w literaturze, miejscu bardzo zaszczytnym. Został bowiem uznany za pisarza, który „uwolnił literaturę od literatury”, a ta właśnie prostota języka i stylu sprawiła, że wywarł poważny wpływ na młode pokolenia. Jedyłą ambicją Esendala było nieść ludziom uśmiech, pogodę, chwilę wytchnienia, nieco odwagi i hartu w znoszeniu codziennych trudów i przeciwności życia.

Jego twórczość w edycji książkowej stanowią dwa tomy opowiadań *Hikâyeler*, I i II, 1946, obejmujące około 75 miniaturowych nowelek oraz powieść pt. *Ayaşlı ve kiracıları* (*Pijak i jego lokatorzy*), 1934. Podobno zostawił wiele utworów, rozproszonych w prasie lub nie drukowanych wcale, w tym parę sztuk teatralnych. Opowiadanie pt. *Otlakçı*, które prezentujemy poniżej, pochodzi z I tomu *Hikâyeler*, a drukowane było po raz pierwszy w 1925 r. w „Meslek”.

M.Ł.-K.

Ależ, efendim, nie można zostawić na wierzchu pudełka z tytoniem. Ten bezczelny typ, ten Mahmud, wypalił wszystko, a mnie zostawił paprochy. Widziałem w życiu wielu naciągaczy, ale czegoś podobnego jeszcze nie spotkałem. Nieboszczyk İlhami też lubił cudzesy, ale był na tyle subtelny, że pana przy tym ubawił. Siadał naprzeciwko mnie, pożerał wzrokiem pudełko z tytoniem, podsuwał się bliżej, wtedy chowałem pudełko do kieszeni, on tracił wątek rozmowy, ja wyciągałem pudełko i kładłem na stole, a on po prostu promieniał. Całymi godzinami nie spuszczał go z oka, a upatrzwszy odpowiedni moment porywał szczyptę tytoniu, skręcał, zapalał, śmiał się i bawił słuchaczy wesołą rozmową. A nie posiadał się ze szczęścia, gdy mu się czasem udało „podwędzić” cichaczem papierosa. Jeśli go pan częstował, to i owszem zapalił, ale nie odczuwał już rozkoszy zakazanego owocu. To rozumiem! To był rasowy „cudzesman”, efendim. Miał swój styl. Ale ten?... Ten to zupełnie coś innego...

Wczoraj miałem go dość, więc mówię:

— Mahmud efendi, wszystko dobre, ale w miarę. Pali pan mój tytoń, proszę, niech pan pali. Ale niech pan przynajmniej nie wybiera najlepszego...

Nic się tym nie przejął, widać — przyzwyczajony. Spojrzał tylko na mnie z ukosa i powiedział:

— Chodzi panu o to, że skręciłem jednego papierosa?

— Jednego?! Niech pan spojrzy, znowu nie mam co palić. Zostały same paprochy.

— Nie rozumiem, jak można palić takie świństwo — odpowiedział mi na to najspokojniej. — Już lepsza byłaby samosiejka.

— Wie pan! — zawołałem z gniewem. — Nie chodzi o to, czy dobry czy zły! I tak pan pali więcej niż ja. Więc dlaczego pan pali, skoro panu mój tytoń nie smakuje?

— Paliłbym lepszy, gdyby był... Ale nie ma.

— Co znaczy: nie ma?... W sklepach jest pełno tytoniu!

Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

— Na tę truciznę nie wydam ani grosza! Tfu! Paskudztwo! Obrzydlistwo! Ja miałbym za to płacić?! Jeszcze czego!

— Ma pan świętą rację — odrzekłem — tylko, że ja za to płacę.

— Właśnie chciałem powiedzieć, że skoro pan płaci, to płać pan przynajmniej za dobry. Lepiej nie palić wcale, niż palić takie świństwo.

— Chciałby pan, żebym po tylu latach wyrzekł się swych przyzwyczajzeń?

— To nie moja sprawa — wzruszył obojętnie ramionami. — Ja się do nikogo nie wtrącam, to pan się do mnie wtrąca. Ja tylko panu odpowiadam.

— Nic bym nie mówił, gdyby ten pański nałóg nie odbijał się na mojej kieszeni.

— O cóż panu chodzi? O tego papierosa? Myślałby kto, że chodzi o fortunę? Gdybym nie ja go wypalił, tylko pan, to czy pan coś by na tym zarobił? Tylko nie mów pan tego przy ludziach, wyśmieją pana...

Krew mnie zalała.

— Co w tym śmiesznego!!! — wrzasnąłem.

— A to, że robi mi pan sceny o jednego głupiego papierosa.

— Na Allaha! Nie chodzi mi o jednego papierosa, ani o pięć!

— No, niech będzie, że o dziesięć, dwadzieścia, nawet trzydzieści papierosów...

O co tu jeszcze chodzi?! Ale to głupio opowiadać, że wybieram tylko dobry tytoń, a panu zostawiam paprochy. Jeżeli dobry się skończył, to niech pan kupi sobie nową paczkę, będzie pan miał makaronik jak złoto! Najlepszy gatunek „samsunu” kosztuje 60 para!

— A co by się stało, gdyby raz pan kupił tytoń, a nie ja? Dlaczego pan ma tylko palić, a ja mam tylko kupować?

— Mówiłem już nie raz, że nie palę z nałogu, więc po cóż miałbym płacić za taką truciznę!? Pan jest palaczem i kupuje pan tytoń bez względu na to, czy ja będę go palił, czy nie. Nie kupuje pan przecież tytoniu tylko dla mnie! Uchowaj Allah! Jeśliby tak było, błagam, niech pan nie kupuje wcale! Ale nie przystoi komuś takiemu jak pan, wymawiać mi przy ludziach, w kawiarni, że wypaliłem panu jednego papierosa!

— Oszaleję! — zawołałem. — Opalać wszystkich bez wyjątku, żeby nie wydać tych 60 para, to ładnie, to nie wstyd, ale jeśli ja proszę, żebyś mi pan zostawił, za moje pieniądze, trochę dobrego tytoniu, to nieładnie, to wstyd!? Oszaleję...

— Czegóż miałbym się wstydzić? Ani nie kradnę, ani nie wrywam przemocą, po prostu nie jestem na tyle głupi, żeby palić paprochy, a komuś zostawiać makaronik.

— To znaczy, że ja jestem głupi, bo palę same paprochy, taak!!!??? — byłem zirytowany, to prawda. Jemu też drżały poźółkle od nikotyny paluchy, ale nie przestał mówić.

— Czy ja coś mówię? To pan ma do mnie jakieś głupie pretensje i gada pan bez przerwy. Co pana tak wzburza, irytuje? Czy to, że powiedziałem, że tylko głupcy palą paprochy zamiast dobrego tytoniu? — i ciągnął dalej rozglądając się po sąsiednich stolikach. — Może to nieprawda, powiedzcie panowie? Ten pan poczęstował mnie jednym papierosem, a tyle muszę się za to nasłuchać... Kto to widział? Powiedzcie panowie...

Siedzący *vis à vis* pułkownik Esat bej mrugnął do mnie porozumiewawczo, a ja opanowałem się z trudem i rzekłem:

— Pan będzie łaskaw więcej się do mnie nie przysiądać. I nie wdawać się ze mną w dysputy. Bo mnie jeszcze kiedyś krew zaleje i rozbiję na pańskiej głowie coś ciężkiego. Po co mam przez pana pakować się w nieszczęście? Zrozumiano? Więcej nie powiem ani słowa.

Słyszając to pułkownik Esat bej wyjął z kieszeni pudełko z tytoniem i powiedział:

— Niech pan pozwoli, Mahmud efendi, poczęstuję pana moim tytoniem, na pewno pan nie pożałuje.

Na widok pudełka Mahmud wstał i natychmiast przysiadł się do pułkownika, mówiąc mi na odchodnym:

— Nie jestem taki zادیorny, nie skrzywdziłem też nikogo i nie zamierzam skrzywdzić. Cały mój grzech to to, że skrzyłem sobie jednego papierosa. I oto taka tragedia...

Gadał jeszcze i gadał paląc bez przerwy, aż wypalił pułkownikowi wszystek tytoń. Ja milczałem uparcie. Niech pan jednak nie myśli, efendim, że obraził się na mnie, i że w ten sposób zdołałem się od niego uwolnić. Na drugi dzień rano mówi mój mały, że przyszedł jakiś pan i chce się ze mną widzieć. Zeszedłem na dół, patrzę: Mahmud efendi.

— Ach, mój drogi — zawołał na mój widok. — Wczoraj zrobiłem panu przykrość. Po tym bardzo żałowałem. Przyszedłem się usprawiedliwić. Proszę mi wybaczyć, zdarza się czasem, że człowiek palnie jakieś głupstwo...

Co zrobił by pan na moim miejscu, efendim? Stoi przed panem człowiek, który prosi o przebaczenie... Fatygował się aż tu, do pańskiego domu... Nie mogłem postąpić inaczej. Powiedziałem:

— Proszę! — i kazałem podać kawę. Postawiłem na stole pudełko pełne świeżego tytoniu...

Zapewniam pana, efendim, że zanim wyszedłem do biura, w pudełku były same paprochy...

(„Meslek”, 23.XII.1925)

Z tureckiego przełożyła  
Małgorzata Łabęcka-Koecherowa

